Nr. 22. We Lwowie dnia 28. Maja 1899. Rok 7.



Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

ZDRAJCY.

(Moment.)

„*Mourir pour la France!*“

Wyrazy w obcym języku, obcej i dawnej epoki, Tyrteuszowym akordem brzmią w duszy młodego żołnierza i zalewają duszę tę po same brzegi boską ekstazą. W nich wciela się w tej chwili ów dziwny ogień, który zapłonął nagle w cichej, łagodnej piersi; zapłonął z iskry, którą weń zaroniły niby już zgasłe, lecz dotąd jeszcze gorejące pioruny Cezarów... Iskry z ksiąg, z prochów tylko po bogach wojny skrzesane, a jednak tak jeszcze ogniosiejne, że wielkie tworzą pożary... I zdaje się młodemu żołnierzowi, że w duszę i w ciało jego wrósł jakiś mąż wspaniały o mocy Achilesowej i »świętych« żarach Bayarda. Na ostrzu miecza tylko zawiesił ogromne ukochanie ojczyzny. I u stóp płonącego rycerza — pada cichy młodzieniec, wołający z gestem odrazy:

— Wojna — to zbrodnia!

Głuszy go okrzyk zwycięzki:

— Wojna — to bohaterstwo!

I oto piersi młodzieńcze rozpiera ta sama błoga burza, co przed wiekami rozpierała piersi opancerzone, która z tych piersi wyrzucała najszlachetniejszy okrzyk tych czasów:

— »Mourir pour la douce France!«

Czemu jednak i oni woleli wołać „mourir« — aniżeli »tuer« dla swojej »słodkiej«, świętej ojczyzny? Czyżby i im się już wówczas zdawać miało, że ładniej jest bądź co bądź umierać, — niżeli zabijać?...

A więc dawny bohater w błyszczącej zbroi, o dumnem, uwieńczonem czole — odepchnął nowonarodzone dziecię pokoju w skromnej, białej sukience. Przepiękny demon — i nikły jeszcze cherubin, ledwie rozwijający skrzydła ku górnym wzlotom. Krwawią się one i łamią co chwila, lecz ciągle rosną i rosną. Aż tak urosną i spotężnieją, iż żaden miecz ich nie zakrwawi, tylko się o nich rozpryśnie.

. . . .

W szerokiem polu, jak gdyby w wązkiej jamie smoczej — wielugłowy i wieluramienny potwór ludzki pożera własne ciało ostremi zębami szabli, ścisk, zamieszanie tak wielkie, że palną broń odrzucono...

A więc ciąć po tych szyjach, tych piersiach, tych skroniach... Zagłębiać ostrza w te żywe ciała, ledwie okryte suknem tylko lub płótnem. Tu niema głuchego chrzęstu zbroicy... Trudności żadnej... żelazo grzęźnie bez przeszkód, cicho... w większej masie. Nowiutkie tylko uniformy ze stron obu.... wystąpiono godnie wobec nieprzyjaciela.

Parę iskier gaśnie w »Bayardowem« oku młodego rycerza... Parę różanych świateł »świętego« uniesienia na bielejącej twarzy. Lecz jeszcze wiele ich zostaje...

Razi naokół i broni się upojony — z atawicznym szałem bohatera... Lecz oto chóralny jęk i ryk — wzrasta straszliwie... wstrętne rzężenie czyichś zamierających, dla kogoś najdroższych piersi... gdzieś z dołu... pod kopytami...

Strzelać bezwarunkowo lżej... mniej dziko... mniej krwawo... przestrzeń dalsza... czyściej... Tu jest rzeź, bez osłonek — strzępy ciał obnażone w całej ohydzie... Przekleństwo!... Szabla martwieje coraz bardziej w dłoni młodego oficera. Źrenice jego rozszerzają się powoli... jak oczy tchórza... przed cudzą męką i śmiercią, tchórza przed tą krwią, buchającą potokiem. Tyle jej tu, tyle! Na tym czerwonym kołnierzu, ciemniejsza,— wydaje się rozlanym atramentem. Tu znów nad samem okiem... ohyda, gdzie ją przelano! tworzy maskę okropną, purpurową z jednej strony twarzy, gdy druga pozostaje czystą... pajac śmierci strasznie umalowany!... Tu dalej jak puklerz okrągły, ciemno-miedziany, lepki, na popielatem suknie... I wszędzie... wszędzie.

Oczy pragną się zamknąć i odwrócić, ramiona rozepchnąć tych katów i tych katowanych, — człowiek pod ziemię pójść od tej zmory bajecznej. Pierzcha i pierzcha coraz gwałtowniej

»święty« żar boju. I oto już pozostaje niewolnik tylko, przykuty do ciężkiej, krwawej galery, skulony, krwawiący sercem całem.

W tej chwili właśnie wyrasta przed nim twarz niepodobna do innych. Dziwnie spokojna, rozumna, o srebrzącym się zaroście i smutnych, ciemnych oczach. Uderzająco odbija od tego tła wzniesionych ramion zbrodniczych, od twarzy, płonących zemstą, bólem lub upojeniem rycerskiem. I człowiek o takiej twarzy wznosi — również jak inni — ramię z błyszczącą szablą. Wznosi ją ponad piersią młodego oficera. Godzi w nią właśnie. Wyraźnie w nią godzi... Lecz jakże pastwi się nad nim! Nie spuszcza długo żelaza, nie uderza. Tylko wzrok jego pełen gorzkiej ironji — zda się hypnotyzować, ubezwładniać! Cóż to za wampir tak długo pojący się widokiem przyszłej ofiary?!... Zgroza i mściwy płomień odwetu i żal własnego życia — bucha do ścierpłej a przygnębionej przed chwilą piersi młodego oficera. Ramię jego unosi się również w górę, lecz błyskawicznie, gwałtownie, a potem sępem opada na tę pierś, pod tą twarzą, o ciemnych, ironicznych źrenicach...

I oto szabla, pastwiąca się tak długo nad nim — wysuwa się z rozwartej dłoni, uderza z brzękiem o jakiś grzbiet koński, potem o końskie kopyta. Ironiczne i smutne oczy mrużą się nagle, jakby od jaskrawego światła, czy strasznej ciemności. Głowa z siwiejącym zarostem w tył się odchyla. Na cienki, wykwintny mundur starszyzny militarnej występuje nagle dziwna rdza jakaś na przodzie kilku ciemnemi plamami...

Młody zwycięzca patrzy przez moment z bezmyślnem zdziwieniem na ciemne kółka i centki, tworzące błyskawicznie deseń na niebieskawym mundurze, — a gdy ciało w tył się przeważa i opada — machinalnie wyciąga ręce, by je podtrzymać...

Lecz ktoś ociera się tak blisko o jego ramię w tej chwili, tak blisko i mocno, że go odpycha. Potem płomienny jakiś, dziko bolący zygzak wdrąża się w prawy bok jego, wpada do mózgu, do serca — do duszy. Krwawa ciemnica...

. . . .

Miękkie, rozkoszne posłanie. Świeży kobierzec najświeższego, najwonniejszego maju... Brakuje tylko, by konwalje z gajów cienistych posrebrzyły go gdzieniegdzie zamiast żółtego mlecza, mrugającego tu zewsząd pospolitemi ślepkami... czasem krwią nabiegłemi. Chłodne i pyszne posłanie dla tych, co tu gorzeją w przedśmiertnych żarach.

Jest tu ich dwóch... a może nawet jeden tylko. Inni już »ochłonęli«. Człowiek o siwiejących włosach i smutnych, rozumnych oczach — jeszcze spoziera niemi. Miał nawet siłę nieco unieść się i poruszyć, by oprzeć głowę na rzuconym tłumoczku szeregowca. Zamarł w tej »lepszej« pozycji, ściągnąwszy brwi boleśnie. Wysiłek umieszczenia głowy na twardym, lecz wyżej położonym przedmiocie — kosztował go drogo. Rana, w którą śmierć zatopiła już swe pazury, rozdzierając mu piersi — zapiekła go straszliwie. Ostry ból ten »otrzeźwiał« jedynie głowę mdlejącą. Leżał na wznak i raczej czuł — niż oglądał przy sobie równolegle — długi przedmiot, obramowany mocnym konturem czarniawego cienia. Pragnął snu, spokoju, śmierci. Rozumiał, iż cięcie było śmiertelne; znał się na tem. Odwrócił się więc już w myśli od życia i świata. Chciał tylko konać z najmniejszym bólem.

I w tem ostatniem pragnieniu — przeszkodzono mu brutalnie.

Mocne uderzenie jakiegoś ciężkiego przedmiotu po sztywnie wyprostowanem kolanie jego zaszamotało nerwowo całem ciałem i ponowiło zabójcze pchnięcie. Była to ręka ludzka, odrzucona gwałtownie, odruchowo. Jednocześnie głos różniący się od żałośnego wycia zwierzęcia tylko wtłoczonemi weń wyrazami ludzkiego języka — zapłakał, zajęczał:

— Boli... podnieść !..leżę na strasznym bólu..

Pomimo, iż siwiejący oficer na różach nie spoczywał, zrozumiał jednak, że ten, który jęczy przy nim w nieprzyjacielskim języku — »spoczywa« na własnej ranie. Uniósł więc nieco głowę i obejrzał się zamglonemi oczami... czy niema kogo, ktoby chciał nadejść z pomocą niespokojnemu sąsiadowi... Parę tylko ciał niemych. Daleko na wzgórzu grupa gestykulujących ludzi. Nie widok — ale szmer bitwy gdzieś w perspektywie. Życie pysznie reprezentowane przez nich dwóch tylko w tej umajonej wpadlinie! Sąsiad leży nieco wyżej od niego, choć niby równolegle. Leży na boku skulony. Twarzy na pierś opadłej nie widać prawie. Co chwila miotają nim krótkie drgania, co chwila z ust jego zrywają się krótkie jęki. Starszy oficer próbuje się unieść, raz jeszcze... jeszcze — i jeśli się uda — pomóc, obrócić. Nonsens! zapomnienie! Zaledwie szyję wypręża i spiera się na łokciu, już potok krwi jakiejś spienionej, gorącej bucha mu z rany. Pod siwiejącą brodą wyrasta druga, purpurowa, w licznych strumykach, jak pasmach ścieląca się po piersi. Żółta mgła i bezwładność i nowe, nowe pchnięcia...

Tamten tymczasem targa się i rzuca. Nareszcie... Jakiś ruch mocniejszy, szczęśliwszy obraca go wygodniej... Westchnienie pełne wielkiego bólu i niezmiernej ulgi rozpływa się w powietrzu.

(Dokończenie nastąpi).



16)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

arzenia Przewalskiego, ażeby Indje wschodnie stały się generał-gubernatorstwem, ażeby Mongolja, Mandżurja, Chiny całe wraz z Koreją i Japonją przyjęły alfabet i mowę rossyjską i uznały Śtego Mikołaja za swego patrona — przyswoili sobie w późniejszym czasie rozmaici działacze polityczni na wschodzie, ale u niego samego zeszły one na plan drugi, a może nawet znikły zupełnie z horyzontu myśli jego, tonąc w coraz bardziej wzbierającej fali namiętności do wypraw myśliwsko-wojennych, których urok polegał na coraz to nowych odkryciach w dziedzinie geografji, etnologji, zoologji i botaniki.

Jeszcze podczas bytności w akademji wojennej robiono Przewalskiemu pewne trudności: musiał się dokładnie wylegitymować ze swego pochodzenia, ażeby mu pozwolono było ukończyć studja w zakładzie. Wszakże pomimo legitymacji, nie miano na razie do niego wielkiego zaufania, „coś nieuchwytnego zdradza w nim polaka“ — oświadczał generał Simonow (jedyny generał sybirak), zaś inni sybiracy powiadali, że „od niego wieje duch polski*). Otóż z racji rzeczonych prawdopodobnie wahano się przez pewien czas udzielić mu prawa do noszenia oznak oficera sztabu generalnego, dopiero gdy przebył lat parę na Syberji, gdy się dał poznać jako człowiek bardzo zdolny, pracownik niezmordowany, dowódca odważny w wojnie ówczesnej z „Manzami“, jako kollektor wyśmienity, podróżnik wytrwały i przedsiębierczy, a nadto jako patrjota, działający w kierunku urzeczywistnienia „panazjatyckiego cesarstwa“, gdy następnie na mocy tych wszystkich dodatnich przymiotów swoich został Przewalski przedstawiony w bardzo pochlebnem świetle w raportach, składanych i przesyłanych do Petersburga przez naczelnika sztabu wojsk wschodnio-syberyjskich, ś. p. generał.majora Kukiela, wtedy dopiero nastąpiły i następowały jeden za drugim tytuły i awanse.

O epoce nieufności wspominał żartobliwie Przewalski, ale już miał wtedy wszystkie lody niepowodzenia za sobą i pędził z pomyślnym wiatrem, pod pełnymi żaglami ku celom swoich marzeń, podówczas już daleko skromniejszych, niż przedtem, bo ograniczających się tylko do podróży eksploracyjnej po Azji centralnej.

Gdy wracał Przewalski do Irkucka ze swojej pierwszej ekspedycji, odbytej po kraju Ussuryjskim, rozporządzał już wtedy kapitałem stosunkowo znacznym (25 tysięcy r. s.), zdobytym „ciężką pracą“, jak powiadał, przy zielonym stole, grając w karty. Do gry zmuszony był zasiadać zwykle, mając rewolwer przy sobie, ażeby przy jego pomocy zniewalać partnerów „do trzymania rąk pod stołem“. Takie

---

*) Charakter polskości „utajony“ w osobie Przew. odczuwali, słusznie, czy nie słusznie, wszyscy sybiracy, a że oni są niezmiernie czuli na różnice plemienne, na to mieliśmy dowodów pełno. Sybiracy nazywają wszystkich polaków „panami“, sądząc, że miano „Pan“ jest równoznaczące z nazwą „Polak“, tylko że jest mniej obraźliwe, niż to ostatnie. Tą też nazwą „Pan“ tytułowali i Przewalskiego, pomimo akselbantów jego i munduru wojskowego. Tytułowanie rzeczone gniewało często Przewalskiego, bo nie chciał nawet w oczach Sybiraków uchodzić za polaka. Czy mieli słuszność sybiracy uważać Przewalskiego „z postawy“, za polaka? trudno dać na ta odpowiedź stanowczą. Że miał on coś w sobie nie rossyjskiego, to pewna, że różnił się znacznie od oficerów rossyjskich, i to nie ulega wątpliwości, ale po za tem ocena narodowości „z wyglądu“ jest rzeczą nader trudną, a niekiedy wprost niemożliwą. Niechże ktokolwiek na ulicach Lwowa odszukać zechce postać typową polską, a przecie wszyscy mienią się być polakami; nawet i sybiraka wąsy „à la Mefistofeles“ i bródki „kozie“ wprawiłyby w kłopot niezmierny. Co się zaś dotycze cech osobistości Przewalskiego, to streszczam je w następujących wyrazach.

Przewalski był wzrostu wysokiego, silnej budowy ciała, miał barki szerokie i pierś wydatną. Głowę proporcjonalną, krótką, foremną, na krótkiej szyi osadzoną trzymał zwykle wzniesioną. Czoło nie wysokie, policzki nie wystające, podbródek zaokrąglony, nos rzymski, czyli orli, ale nie hakowaty, kształtny, usta pełne, nieco wydęte, z arystokratycznem, niby pogardliwem. lekceważącem niezadowoleniem zaciśnięte, oczy duże, otwarte, niebieskie, łagodne, gdy świeciły z pod rozpogodzonego czoła, natomiast harde, wyzywające, gdy nad niemi ściągnął brwi marsowe i zmarszczył czoło. Włosy na głowie miał gęste, ciemno-szatynowe, nieco pukliste, w tył zaczesane. Zarost na twarzy był obfity, starannie golony, gdyż brody „patrjotycznej“, podówczas już w modę wchodzącej, nie znosił. Wąs sumiasty, światlejszy od włosów na głowie, stanowił ozdobę jego twarzy marsowej, wyrazistej, sympatycznej.

Tytoniu nie używał, trunków gorących nie ciercierpiał, kobiet apatycznie nie lubił, ich towarzystwa unikał. Od towarzystw miejskich stronił. Elegantami mężczyznami pogardzał, nazywał ich „Mon — cher'ami“. W gronie naturalistów był mowny, wesoły, przyjacielski, ujmujący, przeciwnie w towarzystwie oficerów, urzędników etc. był nieraz szorstki, wyniosły, kpiący. Z podwładnymi swoimi był ludzki, ale wymagał od nich subordynacji militarnej. Wszyscy przyznawali mu przymioty dobrego kierownika i dowódcy. Umiał utrzymać rygor wojskowy, wzbudzić poszanowanie dla woli swojej, a jednocześnie potrafił ująć i przywiązać do siebie podwładnych. Strzelał doskonale, miał wzrok niezmiernie bystry, do pieszych podróży był przyzwyczajony, nie znosił długiej jazdy na koniu, często zsiadał z niego, szedł pieszo i mniej odczuwał zmęczenia, niż inni, jadący cały czas konno.

było ówczesne towarzystwo piękne w owej krainie dalekiej*).

Oprócz kapitału posiadał wzorową i pokaźną kollekcję ptaków, składającą się z 300 okazów, dalej kollekcję jaj ptasich, zbiór owadów etc. nadto herbarjum, mieszczące w sobie 2,000 egzemplarzy roślin zasuszonych, a przytem wszystkiem posiadał już renomę, której mu zazdrościli koledzy wojskowi.

---

*) Przewalski nie był namiętnym graczem, ale postanowił zużytkować pobyt swój pomiędzy graczami i szulerami dla celów zdobycia kapitału, potrzebnego „na smarowidło“, jak się wyrażał. Grał tedy z wyrachowaniem, a przytem niezmiernie „szczęśliwie“ i z taką krwią zimną, jakiej nie zdarzyło mi się widzieć, ani przedtem ani potem. Szczęście jego przy kartach stało się przysłowiowem na Amurze. Podczas naszej wspólnej podróży w przeciągu przeszło dwóch miesięcy, gdzie grano prawie codziennie po godzin kilkanaście na dobę, nie widziałem ani razu, ażeby przegrał w karty. Wygrywał jako „poniter“, jako bankier“, wygrywał w grach komersyjnych i hazardowych, a ludzie przesądni przypisywali mu jakąś tajemniczą moc i siłę nadprzyrodzoną.

Raz w oczach moich wygrał u kupca Olberts'a, w magazynie kupieckim tego ostatniego, na poczekaniu dwie skóry wydry morskiej wartości 800 r. s. i dwadzieścia soboli wartości około 400 r. s., stawiąc karty z pamięci, gdyż talij poniterowej nie było w magazynie, a sam kupiec bank trzymał. Drugim razem bawiąc w Stanicy „Kamień rybołor“, nad jeziorem „Chanka“, potrzebował Przewalski 200 r. s. ażeby zapłacić dług oficerowi „Obutkowowi“. Wiedząc, że w mieszkaniu półkownika Zykowa grają w sztosa, zaproponował mnie pójść z nim razem, ażebym widział, jak on po chwili przyjdzie do posiadania sumy potrzebnej. Przewalski i tutaj wygłaszał karty z pamięci, bo mu talij poniterowej nie dano. Wygrał w dwóch ciągnieniach 200 rs. i zaraz pożegnał towarzystwo, bo na razie wygrywać więcej nie miał potrzeby.

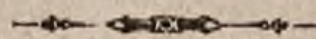
Jadąc z Błahowieszczeńska do Stretieńska na parostatku w towarzystwie kupców zabajkalskich: Samsonowicza i Safonowa, wygrywał od nich tyle, ile mu każdorazowo potrzeba było na opędzenie kosztów podróży. Wygrawszy sumę, jaką na razie uważał za konieczną, usuwał się natychmiast z towarzystwa graczów, pomimo ich próśb i nalegań, ażeby grał dalej. Przyjechawszy do Irkucka postanowił nie grać więcej i nikt go odtąd już do gry w karty namówić nigdy nie potrafił. O graczach i szulerach Ussuryjskich opowiadał Przewalski niezmiernie ciekawe historje, jak oni przegrywali „bataljony“, sotnie, żony i narzeczone, tak np. pułkownik Fiksen wygrał żonę za 50.000 r. s. gdy ta przyjechała z jakimś Inżynierem w roli przyjaciółki. Miljony rządowe, przeznaczone na fortece, jak np. forteca „Czynarach“ u ujścia Amura, na cerkwie np. w Sofijsku, na „sady wzorowe“, płynęły, jak opowiadał Przewalski, tajnemi, podziemnemi drogami do rąk szulerów, a fortece, cerkwie i sady znaczyły się tylko na papierze. Brano nawet sumy na remonta zabudowań, które nigdy nie egzystowały w rzeczywistości.

(Dalszy ciąg nastąpi).



12)

Z wycieczki do Słowacji.



(Ciąg dalszy).

A jednak djabeł nie śpi. Oto co podaje „Magyar Orszag“ półurzędowy dziennik peszteński:

„Rząd węgierski wpadł na ślad szeroko rozgałęzionej konspiracji, która miała na celu zaszczepić na Węgrzech agitację narodowościową o federalistycznych dążeniach. W tym celu podobno stworzono związek, dążący do połączenia różnych narodowości Austrji i Węgier.

W Karlsbadzie odbył się zjazd mężów zaufania wszystkich narodowości, na którym zorganizowano przygotowawczy komitet. Ten komitet podjął kierownictwo i organizację projektowanego na Węgrzech ruchu. Siedzibą kierownictwa centralnego miał być Wiedeń. Za drugie gniazdo agitacji służyć miała Praga, zkąd zamierzono oddziaływać na słowian węgierskich.

Brat posła czeskiego Dyka podjął się rzekomo agitacji w Belgradzie. Jeszcze inne gniazdo agitacji założono w Bukareszcie. Na Bukowinie jeden z posłów rumuńskich miał utrzymywać stosunki z przywódcami rumunów węgierskich Mosconym i Ratianu. — W Karlsbadzie też wyznaczono termin wspólnego wystąpienia różnych narodowości, zamieszkałych na Węgrzech, na dzień 1-szy grudnia. Tego dnia miałyby się stawić przed cesarzem masowe deputacje różnych narodowości, i razem z powinszowaniem, przedstawić monarsze swe skargi na ucisk węgierski“.

„Magyar Orszag“ zapewnia, iż rząd węgierski trzyma w ręku nici całego sprzysiężenia i zarządził już wszelkie odpowiednie środki w celu stłumienia agitacji.

A teraz nawias.

Mniej więcej przed stu laty, w pewnej miejscowości we Francji wycięto las. Ziemia okazała się niepodatną pod uprawę zboża. Postanowiono ją na nowo, po stu latach ugorowania, obrócić na las i zasiano dęby. Ku wielkiemu zdziwieniu leśników ziemia w ciągu kilku lat pokryła się buczyną, bo tam od wieków buki rosły, a gdzie buki rosły, tam mimo wszystko buki rość będą, jeżeli nie z nasienia, to z korzenia, choćby je radłem wyorywano, żelazem przycinano, ogniem przypalano.

Lecz aniśmy się spostrzegli, jak nam czas zbiegł na pogawędce z ludźmi słowa i czynu, a więcej jeszcze czynu, niż słowa.

Mimo iż nastrój myśli nie usposabiał do liryzmu, jeden z księży uderzył na odchodnem w struny lutni czułej:

„Ku Wiśle, ku Wiśle
Leťtie moje dumy,
Kde rodzinnych bratow
Recz[1]) mi miło szumi;
Ku bratom Poliakom
Ku Tatier nevesti,[2])
Ta ku Wiśle pozdraw
Moj bratom zanestie!“.

Urywek to z wiersza Marcina Medniańskiego, piszącego pod pseudonimem Sawy Duszana Pepkina. Dziś Medniański, kapłan i poeta, zamilkł. W swoim czasie jednak pisał dużo, a jako szczery przjaciel polaków wiele utworów drobniejszych Mickiewicza, Brodzińskiego, Goszczyńskiego i innych przełożył na język słowacki. Przed dziesięciu laty *Tygodnik ilustrowany* podał jego portret; niedawnemi zaś czasy p. Władysław Karoli pisał o nim w *Kurjerze niedzielnym*.

Około szóstej wieczorem, wzruszeni do głębi, rozstaliśmy się z księżmi i poszliśmy złożyć wizyty, naprzód nestorowi słowackiego ruchu umysłowego, Janowi Francisciemu, następnie pani Helenie Solteszowej, panom: Hurbanowi i Mudroniowi, wreszcie pastorowi protestanckiemu, który, jako niedomagający na zdrowiu, w zabawach i ucztach udziału nie brał. Proboszcz katolicki parafji świętomarcińskiej trzyma się zdala od ruchu narodowego.

Mieliśmy jeszcze zamiar być wieczorem na balu, aby choć przyjrzeć się, jak się odbywa *ples* (pląs), nazajutrz zaś uczestniczyć w wycieczce w góry *(vylet do hor)*; lecz stało się inaczej Wieczorem spakowaliśmy nasze manatki i nazajutrz zrana puściliśmy się we czterech koleją podkarpacką do Kesmarku na Spiż, dokąd nas pociągała chęć do poznania stosunków miejscowych, wytworzonych zetknięciem się trzech etnograficznych granic słowiańskich: polskiej, rusińskiej i słowackiej. Wszakże to ztamtąd przywiózł p. Michalski wyrażenie charakterystyczne jakiegoś włościanina polaka: „Podobno tam prawujecie się z madziarami o nagie skały nad Morskiem Okiem, miast upominać się o nas! Ach! żebyście wiedzieli, co oni tu z nami wyprawiają!“ Lecz Spiż to cały rozdział do napisania; niema co się spieszyć: sposobność zresztą wkrótce się nadarzy.

W św. Marcinie został się tylko prof. Baudouin, który, ni ztąd ni zowąd, otrzymał wezwanie, aby się stawił na daną godzinę w biurze miejscowego starosty (po słowacku *slużny*, po niemiecku *Stuhlrichter*, po madziarsku *szolgabiro*) Niektóre dzienniki peszteńskie, wiedeńskie, a poniekąd i galicyjskie przesadziły doniosłość faktu. Nie od rzeczy więc może będzie przedstawić sprawę w świetle właściwem.

Oto relacja *Narodnich novin:* „Drobne uralsko-altajskie narody, pokrewne madziarom, przemieszkują wyłącznie w Rosji. Odkąd madziarzy zaczęli świadomie rozwijać swój język, ich uczeni jeżdżą stale do Rosji po materjał do finów. wogułów, ostjaków. W pierwszej połowie naszego stulecia, w interesie języka madziarskiego chodził do Rosji Antoni Reguly, a przed nim jeszcze jezuita Sajnovics; około osiemdziesiątego roku przebywali tam czas dłuższy młodzi lingwiści madziarscy: Papai i Munkacsi. Obecnie, z całą ekspedycją, podróżuje w tym celu po Rosji hr. Eugenjusz Zichy. Byli tam również inni uczeni: historyk Thalloczy, prof. Koloman Geresi, prof. Oskar Asboth. Żadnemu z nich nic się nie stało. Papai i Munkacsi, aby im się lepiej wiodło po osadach uralskich wogułów i ostjaków, mieli urzędowe listy uwierzytelniające; hr. Zichy'emu zaś, aby go jego bracia czerkiesi zbyt silnie nie uścisnęli, władza rosyjska przydała konwój. Niezależnie od innych uczonych, Munkacsi'emu dopomagał radą prof. Baudouin de Courtenay, naówczas profesor uniwersytetu kazańskiego.

Za to profesorowi Baudouin'owi, kiedy ze swoją wiedzą przyszedł na Węgry, odsłużył się starosta turczański, Attila Ujhelyi. Ten niecywilizowany człowiek wezwał uczonego profesora przed siebie i badał go przez trzy kwandranse, żądając przytem, aby prof. Baudouin wylegitymował się natychmiast dokumentami odpowiedniemi.“

Tu następuje życiorys i wyliczenie tytułów i zasług prof. Baudouin'a dla nauki.

Taki badacz języków, taki djalektolog słowiański — mówią dalej *Narodne noviny* — musiał długo podróżować. W ciągu jednak trzydziestu lat nie stało mu się nigdzie nic. Raz tylko w północnych Włoszech żandarmi, nie mogąc pojąć, co on tak spisuje po wsiach, przyprowadzili go do najbliższego swego naczelnika. Naczelnik, naturalnie, zrozumiał rzecz odrazu i przeprosił profesora, że go zaniepokojono. W świecie ucywilizowanym ludzie uważają sobie za zaszczyt, jeżeli tacy uczeni przychodzą do ich kraju. Prof. Baudouin do Turca, do wiosek przyszedł studjować wymowę słowacką, ale dla starosty turczańskiego językoznawstwo to świat niepojęty. On nie rozumie, co może robić prof. uniwersytetu w wiosce słowackiej; a że nie rozumie, że jest zgoła nieoświecony, więc za to uczony prof., cieszący się sławą europejską, musi podlegać jego badaniu. Wstyd! Wstyd przed światem! Wstyd nas samych, że w takich warunkach żyjemy!“

Niemniej jednak z igły zrobiono widły i roztrąbiono po świecie, iż władza miejscowa, świętomarcińska, wystąpiła ze skargą przeciwko prof. Baudouinowi.

---

[1]) Recz = rzecz, mowa. [2]) Nevesta = niewiasta, narzeczona.

„Wiadomość ta — odpowiada prof. Baudouin w *Nowej Reformie* — nie ma najmniejszej podstawy faktycznej. Mam prawo przypuszczać, iż wymyślono ją w otoczeniu miejscowego starosty, człowieka, jak miałem sposobność osobiście się przekonać, niezmiernie ograniczonego. Indywiduum to, wyczytawszy w miejscowej gazecie słowackiej *Narodni Noviny*, że jestem slawistą, pomieszało „slawistę“ z „panslawistą“ i puściło w kurs plotkę, która w formie korespondencji dostała się do dzienika urzędowego *Orszagos Hirlap*, a następnie została roztelegrafowaną do rozmaitych gazet na wsze strony.

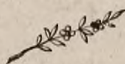
„Moje agitacje „agitatorische Umtriebe“ ograniczały się milczącą obecnością na uroczystościach świętomarcińskich: na przedstawieniu w teatrze, na skromnym bankiecie, oraz na niewinnej zabawie towarzyskiej w lesie podmiejskim. Podobnie „agitowali“ wszyscy uczestnicy tych zabaw, w ich liczbie także czterej polacy: Piotr Chmielowski, Antoni Sygietyński, Stanisław Michalski i Konrad Unruh. Nie wznosiłem nawet żadnego toastu i wogóle ani razu nie przemawiałem publicznie. Po uroczystościach zajmowałem się głównie badaniem żywego języka słowackiego, czego naturalnie uskutecznić nie mogłem bez rozmowy ze słowakami, tak z inteligencji, jakoteż z pomiędzy ludu wiejskiego.

„Pan Attila Ujhelyi (madziaron, t. j. słowak udający mądziara), oraz inni wynaradawiacze pragnęliby z pewnością, ażebym się był wdał w agitacje panslawistyczne i ażeby mnie mogli o to zaskarżyć przed władzą. Ponieważ jednak nie było agitacji, więc i poważnej skargi być nie mogło, boć przecie nawet i na Węgrzech bicza z piasku nie ukręci. Tak tedy rozmaici gorliwcy musieli się obejść smakiem oraz zwykłą w podobnych razach denuncjacją gazeciarską.“

Zabawnie skończyła się nasza wspólna wycieczka do św. Marcina turczańskiego, to prawda: lecz poza tem była to wycieczka nietylko przyjemna, ale nad wyraz pouczająca. Wiele wrażeń nadawałoby się do studjów społecznych i literackich: wiele wspomnień pozostanie w pamięci na długo, a jedno, ostatnie na zawsze: to słowa ks. Hlinki, jakie za nami rzucił na pożegnanie do okna wagonu.

— A powiedzcie tam waszym matkom, żonom, siostrom, córkom, bo pewno już dorosłe macie, żeby ubogiemu słowakowi, kiedy mu dadzą garnek do odrutowania, czy rądel do pobielenia, „hroszy“ bardzo nie skąpiły. Przyniesie on je wszystkie do domu: lecz na wstępie nim się obliczy, na jak długo mu starczą, kilkanaście z nich da swojej miłej, żeby sobie jedwabiu na wzorzyste wyszycie koszuli starodawną modą kupiła, kilka wręczy pokornie swojemu „fararzowi“ na odbudowę kościoła, za kilka kupi sobie książeczkę z pieśniami, a jednego wrzuci do puszki na „Macierz“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

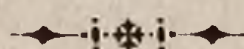


SPŁATA

PRZEZ

8) **PAWŁA BOURGET'A.**

Przekład Eugenji Żmijewskiej.



— Nie widziałeś tego człowieka wobec ojca i ojca wobec niego. Jam ich widział i odczułem tajemnicę tak namacalnie, jak czuję ten ogień — tu wyciągnął rękę nad jasnym płomieniem kominka.

Wyszedłszy od ojca, ponieważ miałem czas i chciałem się uspokoić zmęczeniem fizycznem, szedłem pieszo do kliniki.

Na rogu ulicy Souffot jest sklep — coś pośredniego między handlem win, kawiarnią a szynkiem — zaglądają tam i robotnicy, ale stała kljentela składa się z ludzi wykolejonych: malarzów, nie posiadających pracowni, publicystów, nie mogących znaleźć miejsca w dziennikarstwie i poetów, nie znajdujących wydawców. Ulubionym ich trunkiem absynt. Za każdym razem, gdy obok tego sklepu przechodzę, mimowoli oczy me biegną za szyby... Zdarzyło mi się już dostrzegać wśród gości moich dawnych kolegów, czasem pacjentów szpitalnych...

Otóż owego poranku zajrzałem machinalnie i przy jednym stoliku zobaczyłem nieznajomego, który nawiedzał mego ojca. Przed nim stał kieliszek zielonego trunku. Ujrzawszy tę figurę, stanąłem, jakby przykuty do miejsca. Po chwili podniósł oczy i spojrzał w moją stronę. Cofnąłem się, jak przestępca, schwytany na gorącym uczynku i schowałem się za szyldem sąsiedniego sklepu, zupełnie zresztą niepotrzebnie. Był już tak pijany, że nie mógł mnie poznać. Jego twarz uderzyła mnie jeszcze boleśniej, niż przy pierwszem spotkaniu, a to z powodu tragicznej niemal sprzeczności między pijackiem ogłupieniem a szlachetnością rysów.

Są dwa odrębne typy alkoholików: brutalny i subtelny, że takich określeń użyję: pijak, który upija się ordynarnie, przez pociąg do napojów gorących — i taki, który zmusza się do pijaństwa, aby znaleźć w niem zapomnienie. Ten ostatni zazwyczaj pija absynt.

Tak się upijał Musset, Verlaine. Taki też jest rodzaj pijaństwa owego żebraka. Najsmutniejszy to ze wszystkich...

Nie potrafię ci opisać, ile było melancholji na tem obliczu. Widziałem w niem już nie bezczelność, lecz niezgłębioną i bezradną niedolę, nędzę zmarnowanego życia. Nagle wstał, podniósł szklankę, zaśmiał się głupkowato do jakiejś myśli, otwierając przytem szeroko usta bezzębne. Ten czarny otwór w twarzy wynędzniałej, na tle tego szynku stanowi obraz, przejmujący wstrętem i litością w równej mierze. Pijak wychylił szklankę do dna. Była to zapewne czwarta lub piąta, bo położył na stoliku monetę srebrną, z której dostał resztę miedziakami, a w tej nędznej szynkowni szklanka absyntu kosztuje trzy, cztery soldy najwyżej. Zapłaciwszy, wstał i szedł sztywno, zbaczając to w prawo, to w lewo.

Wyszedł na ulicę. Ja za nim w pewnej odległości. Stawał, i ja stawałem, puszczał się naprzód, a właściwie w bok — ja za nim. W ten sposób minęliśmy ulicę de Feuillantines, Val de Grace, bulwar Port-Royal. Przy ulicy Faubourg Saint-Jaques zatrzymał się przed bramą jednej z owych olbrzymich bud, zamieszkanych wyłącznie przez biedaków — to istne miasteczka nędzarzy. Czekałem dziesięć minut... kwadrans... Nie wychodził...

— A potem? — podchwyciłem, widząc, że się waha.

— Potem — ciągnął dalej, zawstydzony tem szpiegostwem — potem wszedłem na podwórze, odszukałem stróża i dowiedziałem się od niego o nazwisku owej tajemniczej figury. Mieszka w tym domu i nazywa się, a może podaje się tylko za Piotra Robert.

— Najlepiej udać się do prefektury policji z tem nazwiskiem i adresem. Tam ci dadzą bliższe informacje.

— I mnie to przychodziło na myśl, ale wyperswadowałem sobie takiem prostem rozumowaniem: mój ojciec służył w ministerjum spraw wewnętrznych, zna niewątpliwie sposoby, używane przeciw wyzyskiwaczom, a jeżeli ich nie użył, to musi mieć powód ku temu.

— Jakiż mógłby mieć powód?

— Albo ja wiem — odparł wzburzony coraz bardziej. — Przychodziły mi na myśl rozmaite... Wreszcie wpadłem na domysł, że ten chłopak jest naturalnym synem mojego ojca, że miał go przed ślubem i ukrywa jego istnienie przed matką... Ona, przy swojej chorobliwej wrażliwości, domyśla się prawdy, lecz nie jest pewna — toby tłómaczyło wiele rzeczy niezrozumiałych... Im dłużej zastanawiałem się nad tem podejrzeniem, tem mi się ono wydawało możliwszem.

Od owej chwili krążyłem często po ulicy Faubourg Saint-Jacques i pod tym domem. Myśl, że istota wstrętna, zwyrodniała może być moim bratem, wstrząsała mnie obrzydzeniem...

Dziwna wobec mnie postawa ojca zwiększała jeszcze moją umysłową rozterkę. Od owego przejścia nie znaleźliśmy się ani razu we cztery oczy. Unikał mnie widocznie. Mówiłem ci już, że na moje pytanie odpowiedział ogólnikowo: „To wielki biedak, kiedy niekiedy przychodzi do mnie po wsparcie.“

Potem prosił, abym o tem nie wspominał matce: Tę prośbę czytałem wciąż w jego oczach, na mnie zwróconych. Już i to pobudzało mnie do najrozmaitszych wniosków, a podejrzenia i domysły rozszalały się na dobre, gdy wczoraj po południu, krążąc obok tego domu przy ulicy Faubourg Saint-Jacques zobaczyłem wchodzącą moją matkę...

— Wnosisz ztąd?... — przerwałem, zapalając się sam do tego śledztwa.

— Wnoszę to tylko, że moja hypoteza była fałszywa. Skoro i matka zna tego człowieka, nie jest więc naturalnym synem mojego ojca. Takie rozumowanie wyda ci się może fałszywem — dla mnie jest jasnem i oczywistem. Tak sobie powiadam: ojciec, prosząc mnie, bym zamilczał przed matką o wizycie Roberta, nie miał na celu ukrywać przed nią jego istnienia i obecności, lecz po prostu chciał ukryć coś, co mnie się tyczyło... Dlaczego?... No, wytłómacz mi, dlaczego?...

Umilkł. Nie znajdowałem w myśli ani jednego słowa uspokojenia. Że w szeregu faktów przytoczonych było coś tajemniczego, to mi się wydawało oczywistem; lecz Eugenjusz upatrywał łączność pomiędzy owemi faktami, a odmową rodziców zamieszkania z nim razem. Ja nie widziałem w tem żadnego związku. Chyba, że ów Piotr Robert, szantażysta i pijak, był synem naturalnym nie ojca, lecz matki Corbières...

To posądzenie zaświtało mimowoli w mojej głowie. Wyobraźnia przedstawiła mi taką sytuację: Panna daje się uwieść, ma dziecko, wychodzi za mąż, nie wyznawszy swej winy. Dziecko rośnie zdala od niej. Ona ma tymczasem drugie, ślubne.

Pewnego dnia zjawia się pierwsze, odnalazło ślady matki, grozi jej. Nieszczęśliwa kobieta przyznaje się przed mężem, ten jej wybacza. Ale czy wybaczy syn ślubny? Matka drży na samą myśl utracenia tego drogiego szacunku; mąż ma duszę tak wzniosłą, że rozumie, że dzieli nawet te obawy...

Takie snułem hypotezy. Przyjaciel mój tymczasem krążył po pokoju. Może i jemu nasuwały się podobne domysły? Nie śmiałem przemówić, nie śmiałem spojrzeć na niego, bojąc się w jego oczach wyczytać potwierdzenia tego bolesnego domysłu.

Czyż mogłem przypuszczać, że prawda będzie jeszcze boleśniejszą.

III.

Dlatego tylko, by się nie zdradzić z mojem podejrzeniem, zgodziłem się na prośbę — dziwną co prawda, którą zakończył to zwierzenie. Zdało mi się, że go najsnadniej uspokoję, idąc w myśl jego życzeń, choć w głębi duszy uważałem je za nierozsądne.

— A teraz przystępuję do celu moich odwiedzin — rzekł — wynurzyłem ci moje obawy i zgryzoty, naprzód dlatego, że jesteś moim przyjacielem, ale także, żeby mieć prawo prosić cię o usługę, trudną bardzo do wyświadczenia, sam to rozumiem. Słuchaj... Chcę dowiedzieć się czegoś pewnego o tym Robercie... Chcę koniecznie... (włożył w te słowa całą energię swojej skupionej natury). Zamierzałem sam pójść do niego, wyciągnąć z niego prawdę. Alem to sobie wyperswadował. On mnie widział u ojca. Domyślił się, że jestem jego synem. Nie będzie miał do mnie zaufania. Otóż ciebie on nie zna, nie ma powodu ci nie ufać... Czy zechcesz podjąc się misji? To nędzarz. Wyciąga rękę nietylko do mego ojca ale i do innych. Tak wnoszę ze słów stróża. Otóż odwiedzisz go niby przez miłosierdzie. Nie będzie to nawet pozorem. Zostawisz mu jałmużnę. Natomiast wyciągniesz go na zwierzenia. Dowiesz się, co on za jeden, zkąd pochodzi...

— Dowiem się tego tylko, co mi zechce powiedzieć — odparłem — ale sprobuję go wybadać — rzekłem, gdy uchwycił moją rękę i ścisnął ją z całej siły.

— Nie masz mi za co dziękować — mówiłem — to przecież naturalne. Kiedy mam pójść do niego?

— Jeśli możesz, to zaraz. — Wracam właśnie z przedmieścia Saint-Jacques. Jest w domu...

Taki dowód, że Corbières liczył na mnie z pewnością, wystarczyłby do obalenia reszty moich skrupułów, gdybym je miał nawet.

— A więc idźmy! — rzekłem.

Uśmiech wdzięczności opromienił jego twarz posępną.

Pojechaliśmy.

Z dzielnicy Inwalidów, przy której wówczas mieszkałem, do przedmieścia St. Jacques, gdzie mieszkał ów tajemniczy nieznajomy, jest kwadrans jazdy, nie więcej. Jechaliśmy prędko, jednak ta droga wydała mi się bardzo długą, sam nie wiem czemu.

Wdawałem się w sprawę dziwaczną, lecz gdyby mój krok się nie powiódł, nie miałoby to dla mnie żadnych konsekwencji osobistych. A jednak serce ściskało mi się boleśnie w obawie jakby nieszczęścia. Niepokój mojego kolegi był poprostu zaraźliwym i mnie się udzielił.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Z pism i książek.

Rok Mickiewiczowski, Księga pamiątkowa, wydana staraniem Kółka Mickiewiczowskiego we Lwowie. Lwów, nakładem księgarni H. Altenberga, 1899.

Kształtem i formatem „Księga“ przypomina jeden z owych ciężkich głazów, rzucanych pod stopy pomników, — treścią — jest sama pomnikiem Roku Mickiewiczowskiego.

Pierwszą jej część tworzą rozprawy i materjały, odnoszące się do wieszcza lub jego epoki. Jest ich trzydzieści kilka, skreślonych już to przez członków „Kółka Mickiewiczowskiego“, już przez stojących po za „Kółkiem“ pracowników na polu literatury Mickiewiczowskiej.

Przedmiotem rozpraw są albo studja nad dziełami Nieśmiertelnego i do tych należą prace pp.: Tretiaka, Kallenbacha, Mazanowskiego, Piotra Chmielowskiego, Schnür-Pepłowskiego, Hahna, Pilata, — albo rzucają one światło na mniej znane chwile z życia poety, jak to ma miejsce w artykułach pp.: Władysława Mickiewicza, Rawity-Gawrońskiego, a w części i Finkla — albo też mówią o najbliższych Mickiewiczowi ludziach: „Do historji Filaretów w Wilnie“ p. A. Krechowieckiego, „Tomasz Zan w więzieniu“ przez Wł. Mickiewicza i „Stefan Garczyński“ przez T. Piniego. Są też i takie, co mają charakter mieszany, („Miscellanea Mickiewiczowskie“ p. Br. Gubrynowicza), lub są znakiem zapytania pod adresem biografów wieszcza („Król Hieronim w Nowogródku“ p. Wł. Bełzę).

Pierwsza ta część „Roku“, skreślona wytrawnem piórem literatów, to uroczyste hymny, śpiewane przez solistów na cześć Wieszcza. Słucha się ich uważnie, aby nie stracić ani jednej wibracji ćwiczonego głosu.

Inny ma charakter i zgoła odmienne wrażenie wywołuje druga część „Księgi“, obejmująca — w opracowaniu p. Bieńkowskiego — kronikę obchodu jubileuszowego w kraju i po za jego granicami...

W arenie, wielkiej, bo aż Nowego sięgającej świata, śpiewa Chór. Na imię mu Naród, — Naród spętany, ale mający skrzydła, Naród, któremu wydzierają teraźniejszość, ale który ma przeszłość i — przyszłość!

Śpiewa na cześć Tego, co mu „nowości potrząsał kwiatem“. — Śpiewa na cześć Tego, co zapalał „jutrzenkę swobody“. — Śpiewa na cześć Tego, co modlił się o Ojczyznę, Całą, Wolną, Niepodległą...

Śpiew płynie po łanach, „malowanych zbożem rozmaitem“, huczy w borach „Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelowa“, pomyka obcą ziemię, zawisa ciszą łkającą, jak ból głęboką, nad kulami powstań zoranem brukiem Warszawy.

Śpiew płynie — słychać w nim płacz i śmiech, pochrzęsty kajdanów i dźwięki kos, jak nadzieje jasnych — żądzą czynu płonących. *M. W.*

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.